

Na rowerze do Gruzji. Relacja cz.2

Data publikacji: 22.10.2014 7:30

Już po raz szósty cykliści ze Skoczowa i Cieszyna zorganizowali wyprawę rowerową, którą relacjonuje Ox.pl. Tym razem w mocno okrojonym składzie udali się do Gruzji. Mariusz Machej, Dariusz Szindler i Tomasz Tomica przejechali ok. 600 km zwiedzając m. in. Kazbegi, Tbilisi, Mcchetę, Gori, Kutaisi i Batumi.

[Na rowerze do Gruzji. Relacja cz.1](#)

18.09.2014 czwartek, Kutaisi – Poti, dystans 119 km

Wyjazd z dużego miasta, to jak zwykle masakra, a najtrudniejsze to przedostać się na drugą stronę 4 pasmowej, ruchliwej ulicy. Jakoś się udaje. Teraz już do przodu. Wyjeżdżamy z miasta prostą drogą, wydaje się nawet, że jest lekko z górki, a dodatkowo wiatr wieje nam w plecy. Czyli jest całkiem nieźle. Jedziemy na zachód w stronę morza i niziny Kolchidzkiej (tak, tak to ta samo Kolchida, do której wyprawili się mityczni argonauci po złote runo). Po 1,5 godzinie mamy przejechane 36 km. Na rozstaju dróg Batumi-Poti, za Samtredią, Darek z Tomkiem orientują się, że nie ma Mariusza. Jest jakieś 2 km za nimi - ma defekt i reperuje koło. Siedzimy na poboczu. Z wymiany opony zrobiła się grubsza sprawa – nie dość, że poszły dwie dętki to jeszcze złamały się dwie szprychy. Trzeba jechać do sklepu rowerowego, który jest podobno w pobliskim mieście. Darek zostaje i pilnuje bagaży, Mariusz z Tomkiem jadą na poszukiwania sklepu rowerowego. Sklepu nie ma, ale jest bazar, a na bazarze niezbyt okazałym kramik, na którym pani handluje raczej używanymi częściami rowerowymi. W międzyczasie Gruzin ze sklepiku stojącego niedaleko miejsca naszego przymusowego postoju, przynosi Darkowi stołeczek, żeby nie musiał stać i czekać. Ostatnie pompowanie, sprawdzenie i odjazd. Jest 14:00. Straciliśmy 3,5 godziny! Dwie godziny ciśniemy bez zatrzymywania, aby nadrobić stracony czas. Pogoda zaczyna się psuć, nawet trochę pada. Jedziemy drogą do Poti, mamy jeszcze ze 20 km do celu. W tych okolicach stoi pełno kobiet handlują gotowanymi kukurydzami i dyniami. Tu jesteśmy atrakcją turystyczną, ludzie pozdrawiają, policjanci machają ręką lub włączają sygnały, nawet z trąbiącego pociągu pokiwał nam maszynista. Niesamowite. Dojechaliśmy do Poti, portowego miasta na brzegu Morza Czarnego. W centrum obok katedry Poti Soboro, będącej kopią Hagi Sofii, napotykanii ludzie pytani o nocleg, twierdzą, że to "bolszaja dierewnia" - duża wioska, nic tu nie ma i trzeba nam jechać do Ureki. Jeszcze 18 km! . Jest 18:13. Mamy jakąś godzinę do zachodu słońca. Ciśniemy dalej. Akurat, gdy zaczęło padać, zauważamy hotelik – jak się okazuje, całkiem przyzwoity. Przed snem trzeba jeszcze przywitać się z Morzem Czarnym, jedziemy 500 m od hotelu, ale widok nie powala na kolana. Piękno morza nie rekompensuje widoku na czarno-piaszczyste, bardzo szerokie i niewiarygodnie zaśmiecone plaże.

19.09.2014 piątek, Poti – Batumi - Gonio, dystans 82 km

Jedziemy w kierunku Batumi. Pogoda jest idealna na rower – przyjemnie ciepło, niebo lekko zachmurzone, chociaż nad górami zbierają się ciemne chmury. Mijamy Ureki i przed południem dojeżdżamy do kolejnego kurortu - Kobuleti. Miasteczko ciągnie się 12 km, ogólne robi miłe wrażenie, plaża jest kamienista, o co najważniejsze czysta. Dziś na obiad adżarskie chaczapuri - z jajkiem, które trzeba wymieszać z będącym poniżej serem. Dzwonił Wołodia, jeden z Rosjan, których spotkaliśmy drugiego dnia, czekają na nas w Gonio i już zorganizowali nam nocleg (!). Przed Batumi, czeka nas jeszcze jeden podjazd pod górę - 8% nachylenia. Jakoś długo się ciągnie... wczoraj było płasko, więc odwykliśmy. Na górze, ruiny twierdzy z czasów rzymskich i "oczeń krasiwyj" widok. Przy drogach panie (znowu panie, a nie panowie) handlują drabinkami, meblami i kubkami z bambusa, który zresztą rośnie zaraz obok drogi. Już, już jesteśmy w Batumi, ale wcześniej na drodze był wypadek. Wyglądało to fatalnie. Nie chcieliśmy się zatrzymywać. Mariusz przejechał po rozbitym szkle i złapał "panę". W sumie pięć dętek już wymieniliśmy i dwie szprychy, i to pewnie jeszcze nie koniec. Batumi – kurort, dużo zieleni i nowoczesne budowle, w tym charakterystyczny wieżowiec z wbudowanym "diabelskim młynem", wieża z kulą u góry i spiralnym alfabetem. Nadmorska promenada wokół miasta ciągnie się kilka kilometrów. Sezon skończył się w zeszłym tygodniu, więc ludzi mało, choć słońce świeci, a woda w morzu jest cieplutka. Kąpiemy się. Pogoda psuje się coraz bardziej, zrywa

się mocny wiatr. Do Gonio, w kierunku tureckiej granicy jedziemy jeszcze z godzinę. W końcu spotykamy się z Rosjanami - dwóch Wołodiów, dwie Tanie, brodaty Misza, Lena oraz gospodarz Rusłan - Gruzin. Rosjanie przygotowują kolację. Wszystko kupili. Nam jest głupio, więc Rusłan podwozi nas swoim autem do sklepu, żebyśmy nie przychodzili z pustymi rękami. Rozpoczyna się kolacja i rozpoczynają się toasty. Rusłan, też siedzi z nami przy kolacji i wznosi piękny gruziński toast za gości i przyjaźń. Potem pojawiają się kolejne toasty i atmosfera robi się coraz bardziej luźna. W czasie kolacji, Wołodia sprawdza prognozę, i wychodzi na to, że następne dwa dni ma lać. Nasi nowi znajomi proponują nam wycieczkę ich samochodami do wodospadu i starego mostu. Zobaczymy, ale jak będzie mocno padać, to chyba skorzystamy :)

20.09.2014 sobota, Gonio-Keda i okolice –Gonio, samochodem

Leje i to zdrowo. Konserwy się skończyły, a Rosjanie też bardzo nic nie mają do jedzenia. Dojadamy wczorajszy chleb, kiełbasę i rosyjski paszтет. Jedziemy na trzy samochody drogą na Mały Kaukaz do wodospadu i mostu w Makhuntseti i winnicy w Acharistskali. Przynajmniej taki jest plan. Tomek i Darek jedą z Wową i Tanią "Murzikiem" - terenową Toyotą. Mariusz z Miszą i Leną wypożyczoną za 50\$/dzień terenówką, która ma słabe zawieszenie i słabe „rieziny". I do tego drugi Wową z Tanią swoim kombikiem. Dojeżdżamy do Kedy i dalej do cerkwi w Zvare. Następnie w prawo górską drogą do winnicy pana Lado Sharishvili. Gospodarz zaprasza nas na degustację swoich wyrobów, kosztujemy chyba pięć różnych win, do tego czaczę i miodulę. Opowiada nam, że plony są tu dwa razy w roku, ale przymrozki zniszczyły pierwszy plon. Ledo twierdzi, że jak żyje 60 lat nie pamięta takiej sytuacji. Bambus rośnie tu do 20 km od morza, a zimą potrafi spaść nawet kilka metrów śniegu. Jedziemy dalej i szukamy fortu. Gruntowa droga zaczyna wspinać się mocno pod górę tak, że nawet terenówki nie dają rady. Rozpoczyna się piesza wycieczka, która po godzinie, kończy się w chmurze i deszczu. Nic nie znaleźliśmy. Jeszcze szukamy wodospadu i mostu, który miał być 500 m od głównej drogi i też nic. Każdy z tubylców pokazuje w innym kierunku. Głodni, przemoczeni i zmarznięci wracamy do domu na kolację. Wieczorem impreza "supra" i znowu wino się leje, jest też trochę śpiewów polskich i rosyjskich. Gaśnie światło, Rusłan przynosi świecznik, ale zanik napięcia jest chwilowy. Pogoda nie poprawia się, prognozy kiepskie, nad morzem ponoć 4 metrowe fale, a nam trzeba jutro jechać do Ureki.

29.09.2014 niedziela Gonio-Batumi dystans 27 km, Batumi-Ureki samochodem

No i leje tropikalny deszcz. Ale co zrobić, trzeba ruszać. Deszcz jest bardzo intensywny. Następnego dnia, na targu w Samtredi, dowiadujemy się, że w Batumi są podtopienia i zalania, które zobaczyliśmy jeszcze później na zdjęciach przysłanych przez Rosjan. Darek z Tomkiem obwiązują buty folią streczową, Mariusz ubiera na buty reklamówki i też obowiązuje folią, żeby się z góry nie wlewała woda. Darek nie ma spodni ze sztormiaka, więc będzie jechał w krótkich spodenkach i kurtce, która po chwili przemaka, a jest zimno. Rosjanie patrzą na nas jak na kosmitów. Pożegnanie, pamiątkowe zdjęcie i w drogę. Wyjazd przesunięty. Mariuszowi zeszło powietrze z koła. Jest dziura, to już szósta podczas tego wyjazdu. Wreszcie ruszamy. Deszcz jak z cebra, a do tego ogromne kałuże na drogach. Na morzu sztorm. Fale się przelewają i kotłują na nabrzeżu. Podziwiamy ten widok jadąc bulwarem w Batumi. Przejechaliśmy 25 km i jesteśmy cali mokrzy, a c o gorsza zaczyna się robić zimno. Do tej pory Gruzini patrzyli na nas z podziwem, teraz jak na autentycznych wariatów. Przy dworcu kolejowym, taksówkarz sam zaczepił Tomka – skoro już zaczepił... faktycznie ta jazda nie ma większego sensu, po utargowaniu jakoś pakujemy się do vana i cali przemoczeni jedziemy do Ureki. Miasteczko wymarłe po sezonie. Znajdujemy, a właściwie nocleg sam nas znajduje - 40 lari za wszystkich. Najważniejsze jest to, że jest sucho i jest ciepła woda. Właściciel przyjmuje od nas zamówienie na kurczaka (cyplienok) w potrawce. Kurczak, który spokojnie chodzi sobie po placu, na naszych oczach zostaje złapany, oskubany i ostatecznie przez nas zjedzony. A kurczak miał plany i marzenia, hm, ale za to smakował nam wyśmienicie. Późnym popołudniem zaczyna się przejaśniać, więc wybieramy się na spacer po tutejszej plaży słynnej z czarnych magnetycznych piasków, które ponoć mają pozytywny wpływ na układ krążenia, układ nerwowy i leczą przeróżne choroby.

22.09.2014 poniedziałek, Ureki-Kutaisi, dystans 96 km

Zrobiła się pogoda. Jedziemy w kierunku Kutaisi, jest płasko, więc kilometry szybko przemijają. Świnia, krowa, koń, koza czy osioł chodzące po środku drogi - takie widoki, które już nas w ogóle nie dziwią. Nawet nie chce się już odpowiadać na pozdrowienia mieszkańców, kierowców i kogo tam jeszcze. Dojeżdżając do Samtredi, Tomek łapie "gumę" prawie w tym samym miejscu, co uprzednio Mariusz. Hm, fatum jakieś czy co? Mamy sporo wolnego czasu, więc jedziemy na bazar do Samtredi. Kupujemy czukczerle, lecz nie smakują tak dobrze jak pod przełęczą Krzyżową. Na bazarze zostajemy chyba „atrakcją dnia"- „rebiata odkuda", „mołodyc", i tak dalej. To duże zainteresowanie

nami musiało się tak skończyć. Zostajemy poczęstowani szklaneczką „czaczy” przez sprzedawcę tego ‘szlachetnego’ trunku. Tomasz się wymiguję i pół zostawia, dobrze, że Mariusz broni honoru Polaka i wypija całość na raz. Padają miłe słowa o Lechu Kaczyńskim i propozycja następnej kolejki z drugiego straganu. To niechybny znak, że trzeba się stąd ewakuować, w przeciwnym wypadku nie dojedziemy dziś do lotniska, a zostało jeszcze z 10 km. Na lotnisku spotykamy jeszcze dwie grupki rowerzystów z Polski i wymieniamy się na świeżo wrażeniami z pobytu w tym niezwykle gościnnym kraju. No i cóż, zostało już nam tylko spakowanie rowerów i czekanie na odprawę. Wymieniamy pozostałe lary na dolary i zasypiamy w boksach na lotnisku. 6:15 wylot, a po trzech godzinach i piętnastu minutach, czyli o 7:30 Katowice witają nas deszczem. Smucą się razem z nami, że to już koniec...

Zobacz zdjęcia z wyprawy: [Wyprawa rowerowa: GRUZJA](#)